

J
E
G
O



PENELOPE BLOOM

ALBATROS

1. Natasha

Ze spóźniania się uczyniłam sztukę. Pechowe akty niezdarności były moim pędzlem, a Nowy Jork – płótnem. Pewnego razu nie przyszłam do pracy, ponieważ byłam przekonana, że wygrałam w lotto. Okazało się, że sprawdziłam numery z poprzedniego tygodnia. W drodze po wygraną wysłałam SMS-a do szefa. Napisałam, że już nigdy nie będę musiała tracić czasu na bezsensowne spotkania na moim ogromnym jachcie, na którym opaleni piękni mężczyźni będą mnie karmić winogronami. Niestety, szef wydrukował tę wiadomość i powiesił w biurze, a tego wieczoru byłam karmiona jedynie starym popcornem... i karmiłam się sama.

Kiedyś oglądałam przed snem film *Marley i ja* i płakałam tak długo, że rano nie zdążyłam doprowadzić się do porządku. Wsiadałam w złe pociągi, któregoś dnia spędziłam trzydzieści minut na szukaniu kluczyków do

samochodu, którego nie mam, a raz nie stawiałam się na kolacji z najlepszą przyjaciółką, ponieważ mój pies przechodził załamanie nerwowe.

Tak. Nie napawało mnie to dumą, ale byłam trochę jak chodząca katastrofa... No dobrze. Nie trochę. Przyciągałam kłopoty niczym magnes. Jeśli istniał guzik, którego absolutnie, w żadnych okolicznościach, nie wolno naciskać, bezcenna waza, zagrożony atakiem serca staruszek albo cokolwiek, co można było popsuć, byłam prawdopodobnie ostatnią osobą, która powinna pojawiać się w pobliżu... Ale zaraz! Byłam cholernie dobrą dziennikarką. Świadczył o tym już sam fakt, że wciąż miałam pracę. Chociaż gówniane zlecenia, z którymi zawsze łądowałam, nie pozwalały mi zapomnieć, że niezmiennie i nieodwołalnie figuruję na czarnej liście. Trudno iść naprzód, gdy człowiek ma skłonność do przypadkowego strzelania sobie w stopę, bez względu na to, jak dobrze pisze.

– Obudź się – powiedziałam, kopiąc brata w żebra.

Braeden jęknął i przewrócił się na brzuch. Za tydzień miał skończyć trzydziestkę, a wciąż mieszkał z rodzicami. Jedyne, czego od niego wymagali, to pomocy w obowiązkach domowych. Czego oczywiście nigdy nie robił, więc co jakiś czas wyrzucali go z domu. Spał wtedy na podłodze w moim mieszkaniu wielkości szafy przez kilka nocy, dopóki im nie przeszło, po czym znowu

miałam go z głowy.

Podczas gdy ja jakoś funkcjonowałam w swoim bałaganie, Braeden był moją dysfunkcyjną kopią. Miał wszystkie te same geny samozniszczenia co ja, brakowało mu jednak wytrwałości, by naprawiać błędy. Efekt: dwudziestodziewięcioletek, którego największym hobby było granie na telefonie w Pokémon Go, czasami dorbabiający na boku jako „pracownik sanitarny”, co oznaczało zbieranie śmieci za najniższą krajową.

– Jeszcze nawet nie wstało słońce – jęknął.

– Trudno, twój dwudniowy stan łaski dobiegł końca, B. Musisz dogadać się z rodzicami, żebyś znowu mogła mieć swoje pudełko do butów dla siebie.

– Zobaczymy... Chcę złapać jednego pokemona, skoro już jestem w centrum. Może potem.

Włożyłam płaszcz, zdecydowałam się na dwa różne buty – jeden ciemnobrązowy, drugi granatowy – ponieważ nie miałam czasu już dłużej szukać, i przekradłam się przez korytarz. Mieszkałam naprzeciwko właścicielki, która nigdy nie przepuściła okazji, żeby przypomnieć mi, ile jestem jej winna za czynsz.

Oczywiście płaciłam go. W końcu. Moje zlecenia z czarnej listy nie były najlepiej opłacaną robotą w gazecie i czasami musiałam też płacić inne rachunki. Na przykład za prąd. Jeśli trafiło mi się brawurowe nastawienie, kupowałam nawet jedzenie. Moi rodzice nie byli nadzia-

ni, ale oboje pracowali jako nauczyciele i zarabiali dosyć, żeby pożyczyć mi trochę pieniędzy, gdybym znalazła się w prawdziwej potrzebie. Nie byłam zbyt dumna, by prosić, ale nie chciałam, żeby się o mnie martwili, dlatego zmuszałam Braedena, by przysięgał, że zachowa tajemnicę w sprawie nieistniejącej zawartości mojej lodówki i spiżarni. Przecież wkrótce stanę na nogi, więc po co robić hałas?

Życie w Nowym Jorku nie było tanie, ale nie zamieniłabym go na nic innego. Jeśli istniało gdzieś miasto, które rozumiało mój szczególny rodzaj chaosu, był nim Nowy Jork. Przy tylu ludziach przemierzających ulice o każdej godzinie dnia nie miałam wyjścia, musiałam się wtopić, niezależnie od tego, jak wyglądałam i czy miałam buty do pary.

Lubiłam swoją drogę do pracy, nawet wtedy, gdy byłam tak spóźniona, że wiedziałam, co mnie czeka, jak tylko tam dotrę – ochrzan.

Pomieszczenie, w którym pracowałam, zostało urządzone – delikatnie mówiąc – spartańsko. Za biurka służyły mikroskopijne blaty pokryte łuszczącą się szarą farbą. Cienkie ściany przepuszczały prawie każdy dźwięk z ulicy. Wiele naszych komputerów to stare zwaliste maszyny, których monitory ważyły po jakieś piętnaście kilogramów i miały rozmiary przekarmionego dzieciaka. Drukowane gazety umierały paskudną śmiercią i moje

miejsce pracy nie starało się tego ukryć. Jedynymi, którzy zostali w branży, byli ludzie zbyt głupi, by poczuć, skąd wieje wiatr, albo ci, którym robota sprawiała tak wiele frajdy, że się nie przejmowali. Lubiłam myśleć, że należę częściowo do obu tych kategorii.

Gdy tylko przyszłam, Hank wypadł ze swojego naróżnego „gabinetu” – czyli poderwał się zza biurka takiego samego jak nasze, upchniętego w kącie wielkiej przestrzeni, którą dzieliliśmy. Był naszym redaktorem prowadzącym i w sumie jedyną osobą, z którą miałam bezpośrednio do czynienia.

Oczywiście był jeszcze pan Weinstead, ale on nie zwracał sobie głowy czarną robotą. Upewniał się tylko, że mamy reklamodawców i że ktoś płaci czynsz za kącik w wieżowcu, który nazywaliśmy redakcją.

Gdy Hank zmierzał do mnie, moja najlepsza przyjaciółka Candace machała rękami i dawała mi wzrokiem jakieś znaki zza swojego biurka. Zrozumiałam, że próbuje mnie ostrzec, ale nie miałam pojęcia, co jej zdaniem powinnam zrobić, jeśli Hank obarczy mnie kolejnym śmieciowym zleceniem.

Jak zwykle obrzucił mnie spojrzeniem. Miał szerokie brwi, które niepokojąco przypominały jego wąsy, co sprawiało dezorientujące wrażenie, że ma nad ustami trzecią brew lub parę wąsów nad oczami. Nigdy nie mogłam się zdecydować. Włosy na skroniach mu posiwiały,

ale wciąż był pełen nerwowej energii młodzieniaszka.

– Dzisiaj punktualnie? – warknął. Zabrzmiało to niemal jak oskarżenie, jakby próbował wysledzić, co kombinuję.

– Tak... – zaryzykowałam.

– Dobrze. Może jeszcze dzisiaj cię nie zwolnię.

– Grozisz mi zwolnieniem, odkąd zaczęłam tu pracę, czyli od ilu... od trzech lat? Po prostu przyznaj to, Hank. Nie możesz znieść myśli, że mógłbyś stracić mnie i mój talent.

Candace, która podśluchiwała, wetknęła palec do ust i udała, że wymiotuje. Staralam się nie roześmiać, ponieważ wiedziałam, że Hank niczym pies gończy wyniucha najmniejszy objaw radości i zrobi co w jego mocy, żeby go zdławić.

Zirytowany, opuścił wąsy... albo brwi.

– Mogę przyznać jedno: cieszę się, że mam na kogo zrzucić zlecenia, których nikt nie chce. A skoro o tym mowa...

– Niech zgadnę. Każesz mi przeprowadzić wywiad z właścicielem przedsiębiorstwa wywożącego śmieci. Nie... poczekaj! Może z facetem, do którego należy firma sprzątająca za niewielką miesięczną psie kupy sprzed domów. Jestem blisko?

– Nie – burknął. – Będziesz udawała stażystkę w Galleon Enterprises. To jest...

– ...topowa firma marketingowa. Tak – powiedziałam. – Wiem. Może i starasz się o to, żebym siedziała z nosem w gównie, ale możesz wierzyć lub nie, naprawdę jestem na bieżąco ze światem biznesu – oświadczyłam to z pewną dumą. Bo taka była prawda. Każdy tutaj mógł robić sobie ze mnie żarty. Czasami najprościej było przyłączyć się do tego i dawać robić z siebie pośmiewisko, ale tak naprawdę byłam dziennikarką i traktowałam swoją pracę poważnie. Czytałam wstępniaki, byłam na bieżąco z wiadomościami giełdowymi, żeby wywęszyć nowe rekiny w świecie biznesu, a nawet – aby zachować bystrość umysłu – śledziłam kilka blogów poświęconych dziennikarstwu i pisaniu.

– Zrobisz wszystko, żeby znaleźć jakieś haki na Bruce’a Chambersona – dodał Hank.

– Jakie haki? – zapytałam.

– Myślisz, że posyłałbym cię tam, gdybym wiedział?

– Hank... To brzmi podejrzenie jak dobre zlecenie.

Czy przegapiłam jakiś haczyk?

Po raz pierwszy jego surowe rysy zmiękły, choć tylko odrobinę.

– Daję ci szansę udowodnić, że nie jesteś kompletną porażką. A tak na marginesie, spodziewam się, że poniesiesz sromotną klęskę.

Zacisnęłam szczęki.

– Nie zawiodę cię.

Przez kilka sekund patrzył na mnie jak na idiotkę, a ja dopiero teraz zdałam sobie sprawę, co właśnie powiedział: że spodziewa się mojej klęski.

– Wiesz, co chciałam powiedzieć – jęknęłam i ruszyłam do biurka Candace.

Pochyliła się do mnie z szerokim uśmiechem. Była mniej więcej w moim wieku, dwadzieścia pięć lat, może trochę młodsza. Poznałam ją dwa lata temu, gdy zaczęłam pracę dla Hanka w magazynie „Business Insights”. Blondynka z chłopięcą krótką fryzurą, miała wystarczająco słodką twarz, by uchodziło jej to na sucho, i ogromne niebieskie oczy.

– Galleon Enterprises? – rzuciła. – Wiesz, że oni są na liście pięciuset największych firm na świecie?

– Myślisz, że mogę posikać się w majtki teraz czy powinnam poczekać, aż nikt nie będzie patrzył? – spytałam.

Candace wzruszyła ramionami.

– Jeśli obsikasz biurko Jacksona, będę cię kryła. Myślę, że to on kradnie mi jogurty z lodówki.

– Nie jestem twoją bronią biologiczną, Candace.

– Galleon Enterprises... – Rozmarzyła się. – Widziałś zdjęcia dyrektorów generalnych, Bruce’a Chambersona i jego brata, prawda?

– A powinnam?

– Tylko jeśli uwielbiasz boskich bliźniaków, na wi-

dok których opadają majtki.

– Rozumiem. Uf! Wydaje mi się, że jeśli na widok przystojnych facetów opadają ci majtki, to powinnaś się zbadać.

– Tylko cię ostrzegam. Nie mów mi potem, że nie doradzałam ci kupna superobcisłych majtek, zanim tam zaczniesz.

– Proszę cię, nie mów mi, że to naprawdę konieczne – odparłam, mrużąc oczy.

Otworzyła szeroko usta.

– Daj spokój, Nat. A jak myślisz, co noszą astronautki?

Jak zwykle po rozmowie z Candace czułam się oszłamioną, zdezorientowaną i lekko zaniepokojoną. Mimo wszystko ją lubiłam. Nie miałam czasu dla przyjaciół w tradycyjnym tego słowa znaczeniu – w takim, jak w sitcomach. Jeśli człowiek obejrzy kilka seriali telewizyjnych, będzie musiał uznać, że przeciętny dorosły spędza dziewięćdziesiąt do dziewięćdziesięciu pięciu procent życia z przyjaciółmi albo w pracy. Nie wspominając o tym, że ta „praca” to tylko inna dekoracja do spotkań z przyjaciółmi.

Może dotyczyło to tylko mnie, ale moje życie składało się w pięciu procentach z czasu spędzanego z przyjaciółmi, w sześćdziesięciu z pracy i trzydziestu pięciu z martwienia się o pracę. Ach... i dziesięciu procent ze

snu. Owszem, wiem, że suma daje więcej niż sto procent i nic mnie to nie obchodzi. Prawda jest taka, że moje życie nie przypominało sitcomu. Było pełne samotności ze sporą domieszką lęku, że skończę jako bezdomna albo, co gorsza, będę zmuszona wyprowadzić się z Nowego Jorku i porzucić swoje marzenia. A najgorsza ze wszystkiego była majacząca na horyzoncie perspektywa, że zamienię się w Braedena. Wyląduję w swoim starym pokoju, z plamami po masie mocującej na ścianach, w miejscach, gdzie wisiały plakaty One Direction i *Zmierzchu*.

Candace była małym przejawem życia, jakiego pragnęłam; żałowałam, że nie mam dla niej więcej czasu, więc bez sprzeciwu znosiłam konsternację, która zawsze mnie ogarniała po rozmowie z nią.

Kiedy usiadłam przy biurku, zaczęła do mnie docierać waga nowego zlecenia. Candace mogła stroić sobie żarty, jeśli chciała, ale w końcu – po dwóch latach! – miałam szansę się sprawdzić. Mogłam napisać rewelacyjny artykuł. Mogłam udowodnić, że zasługuję na lepsze – i lepiej płatne – zlecenia. Chociaż raz nie zamierzałam tego spieprzyć.

2. Bruce

Na wszystko jest miejsce i wszystko ma swoje miejsce. To moje motto. Moja mantra.

Rozpocynałem dzień dokładnie o piątej trzydziści. Żadnej drzemki w budziku. Biegłem osiem kilometrów, spędzałem dokładnie dwadzieścia minut na siłowni, po czym wjeżdżałem windą do apartamentu na zimny prysznic. Na śniadanie dwa całe jajka, trzy białka, miseczka owsianki i garść migdałów, do zjedzenia oddzielnie na koniec posiłku. Ubrania do pracy przygotowywałem poprzedniego wieczoru. Czarny, szyty na zamówienie garnitur, szara koszula i czerwony krawat.

Lubię porządek. Lubię struktury. Elementy te stanowiły podwaliny mojego modelu biznesowego i jeden z głównych czynników, który doprowadził mnie do sukcesu. Receptura na odniesienie go była prosta i składała się tylko z dwóch składników: zidentyfikowanie kroków

potrzebnych do osiągnięcia celu, a potem ich wykonanie. Prawie każdy potrafi określić kroki, niewielu jednak ma dość samodyscypliny, by wykonać je co do joty.

Ja miałem.

Dwa lata temu przeżyłem paskudne, skomplikowane rozstanie i ostatnio łatwiej było mi skupić się na rutynie. Może z każdym dniem stawałem się coraz bardziej od niej zależny, ale to mi nie przeszkadzało. Z radością zakopałbym się po uszy w pracy, jeśli to oznaczałoby zapomnienie. Odepchnąłbym wszystkich, gdybym dzięki temu nie musiał już czuć tego bólu.

Kierowca przyjeżdżał po mnie dokładnie o siódmej i wiozł do biura. Pracowałem w osiemnastopiętrowym budynku w centrum. Wykupiliśmy go razem z moim bratem bliźniakiem, piętro po piętrze. Naszym pierwszym celem było operowanie z Nowego Jorku. To zajęło nam rok. Następnym – wynajęcie przestrzeni w budynku, który kiedyś nazywał się Greenridge, nowoczesnym monolicie z granitu i szkła, mieszczącym się w sercu centrum. To zajęło nam dwa miesiące. W końcu chcieliśmy mieć cały budynek na własność. Co potrwało pięć lat.

I mieliśmy go.

Wyjąłem telefon i zadzwoniłem do brata, Williama. Kiedy odebrał, głos miał zachrypnięty od snu.

– Co jest? – jęknął.

Poczułem, jak puls mi przyspiesza. Może i wyglądaliśmy tak samo, ale nasze charaktery nie mogły się bardziej różnić. William co tydzień szedł do łóżka z inną kobietą. Regularnie przegapiał budzik i spóźniał się do pracy. Pojawiał się ze śladami szminki na szyi i uszach albo z wyciągniętą zza paska koszulą. Gdyby był kimkolwiek innym, zwolniłbym go w chwili, w której go poznałem.

Niestety, był moim bratem. I również niestety, miał w biznesie to samo wyczucie co ja i mimo braku profesjonalizmu był w Galleon Enterprises niezbędny.

– Potrzebuję cię tutaj – powiedziałem. – Wybieramy dzisiaj stażystów do reklamy.

Zapadła cisza. Na tyle długa, bym zrozumiał, że brat nie ma pojęcia, o czym mówię.

– Stażyści – rzuciłem. – Ci, których sam chciałeś zatrudnić. Którzy mają chłonąć jak gąbki wszystko, co im pokażemy, a potem „wypluć nasze wysadzone diamentami śmieci prosto do mediów”. Zakładam, że nie pamiętasz żadnego z tych słów?

William jęknął i wydawało mi się, że w tle usłyszałem miękki, kobiecy głos.

– W tej chwili nie. Nie pamiętam. Jak zaaplikuję sobie dożylnie pieprzoną tonę kofeiny, to może coś mi zaświta.

– Po prostu tu przyjedź. Nie mam zamiaru spędzać

całego ranka na przepytывaniu twoich stażystów.

DOCHODZIŁA PORA LUNCHU; CAŁY RANEK SPĘDZIŁEM, PRZEPYTUJĄC STAŻYSTÓW. ZERKNAŁEM NA ZEGAREK. TAKI, JAKICH UŻYWAJĄ KOMANDOSI Z NAVY SEALs, co oznaczało, że mogłem z nim nurkować na głębokość stu dwudziestu pięciu metrów. Nie byłem pewien, kiedy może mi się przydać możliwość spontanicznego zanurkowania w oceanie, ale poczucie, że jestem przygotowany na każdą niespodziankę, jaką może zgłotować życie, dodawało mi pełnej satysfakcji otuchy. Zawsze w biurze i w samochodzie trzymałem dwa zapasowe zestawy ubrań – oficjalny i na luzie. Miałem osobistego dietetyka, dla pewności, że przyjmowane przeze mnie pożywienie jest tak zbilansowane, że w ciągu dnia pracy nie będę odczuwał spadków energii czy senności. Miałem nawet zapasowy telefon, ze wszystkimi kontaktami i informacjami, na wypadek gdyby niespodziewanie coś się stało z moją komórką.

Byłem przygotowany na każdą ewentualność. Żadnych niespodzianek. Żadnych przestojów. A co najważniejsze, nigdy nie popełniałem dwa razy tego samego błędu. Nigdy.

Jednym z najnowszych punktów mojej zasady unikania powtórek błędów było nieangażowanie się w związki. Nie były tego warte.

Mogłem odpuścić sobie bardziej skomplikowane sprawy, jak kobiety i zobowiązania, i skupić się na prostszych. A skoro o nich mowa, to w pokoju socjalnym czekał banan z moim imieniem – dosłownie. Oczywiście mogłem go trzymać na swoim biurku, ale wolałem mieć wymówkę, by wstać i udać się przed lunchem na krótki spacer. Przy okazji miałem szansę na interakcję z pracownikami. Rozmowa z nimi zwykle oznaczała jedynie słuchanie, jak liżą mi dupę, ale wiedziałem, że przebywanie wśród nich jest dobre dla morale załogi. Ludzie pracują lepiej dla kogoś, kogo lubią.

Podziękowałem szóstej stażystce, z którą rozmawiałem, i wstałem, by odprowadzić ją do drzwi. Jak wszyscy poprzedni, dopiero co skończyła college i miała szeroko otwarte, przerażone oczy. Niczego więcej się nie spodziewałem, ale nie wiedziałem, w jaki sposób William zamierzał sprawdzać kandydatów. Chciał kogoś, kto zobaczy to, co robimy, w najlepszym świetle, a potem przekaże wszystko do mediów. Powiedział, że to będzie bezpłatny PR tuż przed otwarciem najnowszej oddziału, w Pittsburghu.

Nasza filozofia reklamowa, którą traktowaliśmy bardzo poważnie, opierała się na idei, by działać pod każdym możliwym kątem. Nie chcieliśmy, żeby nasi klienci topili swoje pieniądze w reklamach telewizyjnych czy radiowych. Byliśmy kreatywni i wykorzystanie stażystów

jako własnej – relatywnie taniej – reklamy stanowiło kolejny aspekt naszej strategii. Chodziło nie tyle o pieniądze, ile o udział w grze, a obaj uwielbialiśmy wyzwania. Myśl inaczej. Działaj szybciej. Podejmuj większe ryzyko. Była to też kolejna okazja, by potencjalni klienci zobaczyli, w jak innowacyjny i kreatywny sposób promujemy własną firmę. W końcu jeśli chcesz, żeby najlepsi klienci płacili ci, żebyś ich reklamował, to powinieneś reklamować siebie jak profesjonalista.

Odmienne charaktery Williama i mój zawsze dobrze się uzupełniały. On mnie popychał, bym podejmował w biznesie większe ryzyko, a ja pomagałem mu powściągnąć lejce, gdy stawał się zbyt zuchwały.

Przysunąłem się z krzesłem do biurka i wypilem resztkę wody.

Zaczęło mi burczeć w brzuchu na myśl o czekającym na mnie bananie. Dieta, której się trzymałem, zawierała bardzo mało cukru i z biegiem czasu banan stał się główną atrakcją mojego życia kulinarnego. Wiedziałem, że to absurdalne, dlatego nigdy nikomu bym się do tego nie przyznał. Banan przed lunchem był jednak często najlepszą rzeczą, jaka spotykała mnie w ciągu dnia. William powiedział, że pracownicy, którzy się mnie bali, nauczyli się trzymać z daleka od pokoju socjalnego, dopóki banan tam leżał. A ci, co chcieli się podliznąć, czekali w pobliżu, jakby to była przynęta.

Biuro zostało urządzone prosto i nowocześnie. Razem z Williamem zapłaciliśmy dekoratorowi wnętrz za projekt i nie oszczędzaliśmy na niczym. Schludny, miły dla oka wystrój był z jednej strony luksusem, z drugiej stanowił element modelu biznesowego. Chcieliśmy, żeby nie tylko konkurencja wiedziała, że pod każdym względem jesteśmy najlepsi, pragnęliśmy, aby również czuli to pracownicy. Ludzie pracują inaczej, kiedy myślą, że są na szczycie, i chcą tam zostać.

Pokój socjalny był graniastosłupem ze szkła, z oknami wychodzącymi na wewnętrzną dziedziniec, obsadzony chyba wszystkimi możliwymi kwiatami, jakie udało nam się znaleźć.

Na każdym piętrze pracowało w sumie około osiemdziesięciorga ludzi, a ja zawsze miałem dobrą pamięć do twarzy i imion.

Dlatego kiedy nie rozpoznałem dziewczyny w granatowej ołówkowej spódnicy i białej bluzce, wiedziałem, że to stażystka. Włosy miała związane w kucyk, ale mój wzrok przyciągało jedno pasmo podskakujące leniwie w podmuchach powietrza z wentylatora nad jej głową. Była śliczna, z wyrazistymi, orzechowymi oczami i ustami, które wyglądały na stworzone do szelmowskich uśmiechów i szybkiej riposty, oraz ciałem świadczącym o tym, że o nie dbała.

Nic z tego nie miało jednak znaczenia. Liczyło się

tylko to, co trzymała w ręce.

Do połowy zjedzone, z moim imieniem, wypisanym flamastrem. Widać było tylko starannie wykaligrafowane BRU, ponieważ resztę zasłaniały skórki banana.

W pokoju były cztery inne osoby, które widząc, co dziewczyna ma w ręce, odsunęły się w najdalsze kąty. Obserwując ją, jakby trzymała granat z wyciągniętą zawleczką, jednocześnie starały się, niby od niechcenia, wymknąć się za drzwi, by uniknąć eksplozji, która za chwilę miała nastąpić.

Wtedy mnie zauważyła.

Jej oczy lekko się rozszerzyły i nabrała powietrza, przy czym chyba kawałek banana wpadł jej do gardła. Zaczęła kaszleć i prawie się dusić.

Ogarnęła mnie furia. Ona jest stażystką i ma pieprzoną czelność tykać mojego banana? Jeść go? Dlatego kiedy podszedłem do niej i klepnałem ją w plecy, żeby usunąć to, co utknęło jej w gardle, użyłem trochę więcej siły, niż zamierzałem.

Stęknęła, odkaszlęła i przetknęła. Na jej policzkach płonęły plamy czerwieni, gdy mierząc mnie wzrokiem od stóp do głów, opadła na krzesło przy wielkim stole, by złapać oddech.

– Wiesz, kim jestem? – zapytałem, gdy już wróciła do siebie po zadławieniu się moim bananem. Gardło miałem ściśnięte z wściekłości i świętego oburzenia. Ta

dziewczyna była małym zastrzykiem chaosu w moim życiu, sabotowała moją rutynę. Wszystkie naturalne odruchy wprost krzyczały, bym wyeliminował ją ze swojego życia najszybciej, jak to możliwe – tak jak zdrowy organizm atakuje wirusa.

– Nazywa się pan Bruce Chamberson – odparła.

Na wpół zjedzony banan leżał obok niej. Pomachałem jej palcem przed nosem, żeby na niego spojrzała, po czym przerzuciłem skórkę tak, aby mogła odczytać pełne imię.

Otworzyła szeroko usta.

– Bardzo, bardzo przepraszam, panie Chamberson. Po prostu zapomniałam drugiego śniadania i nie zauważyłam pana imienia, kiedy go złapałam. Myślałam, że jest darmowy albo...

– Darmowy banan? – rzuciłem sucho. – Myślałaś, że Galleon Enterprises zaopatruje swoich pracowników w jednego banana?

Zamilkła, przełknęła, po czym potrząsnęła głową.

– O Boże... – Opadła na krzesło, jakby uszło z niej całe powietrze. – Coś mi mówi, że teraz nie dostanę się na staż.

– Coś ci mówi źle. Jesteś zatrudniona. Twoim pierwszym obowiązkiem każdego dnia będzie zakupienie banana i dostarczenie go do mojego biura, nie później niż o dziesiątej trzydzieści. – Zadbalem, żeby nawet cień

zaskoczenia nie odbił się na mojej twarzy, chociaż nie posiadałem się ze zdumienia. Co ja, do cholery, robiłem? Była atrakcyjna, i to w sposób, którego nie dało się nie zauważyć. Na jej widok coś się we mnie obudziło. Nie czułem nawet cienia seksualnego pożądania, odkąd rozstałem się z Valerie, ale ta stażystka szybko to zmieniała. Nie tylko byłem ciekawy, jak wyglądałaby z tą spódnicą podciągniętą na biodra, lecz także chciałem wiedzieć, czy w łóżku jest głośna, czy cicha, czy wbiłaby mi paznokcie w plecy, czy raczej leżała przede mną z rozłożonymi nogami, jak nagroda, po którą trzeba sięgnąć. Jednocześnie chciałem usunąć ją ze swojego życia najszybciej, jak to tylko możliwe. Była wszystkim, czego starałem się unikać. Wszystkim, czego nie chciałem.

Zdezorientowana, uniosła brwi.

– Jestem zatrudniona? – zapytała.

Odepchnąłem wszystkie wątpliwości na bok. Powiedziałem jej, że ma tę pracę przy wszystkich obecnych w pokoju socjalnym, i nie zamierzałem wyjść przed nimi na durnia. Musiałem połknąć tę żabę.

– Nie bądź taka z siebie zadowolona. Gdybym cię polubił, tobym cię odesłał. Będziesz żałowała, że kiedykolwiek tknęłaś mojego banana, stażystko. Obiecuję ci to.